

ROBERT BACIOCHA

PIELGRZYM

— — — — —
Młodzieńcza miłość i strach w cieniu
powojennej Polski.
Czy konfrontacja z demonami
przeszłości pozwoli przetrwać uczuciu?
— — — — —



FILIA

ROBERT BACIOCHA

PIELGRZYM

FILIA

31.05.1979, godz. 9.46

Dryfując między jawą a snem, Simon uświadomił sobie, że gdyby nie utajona tęsknota za dawną miłością, nigdy więcej by w rodzinne strony nie zawitał. Może nawet zapomniałby o Polsce.

Przetarł opuchnięte powieki. Dźwięczny bas z głośnika obwieszczał właśnie, że lot przebiegł bez żadnych komplikacji, a za dwadzieścia minut wylądują na lotnisku Okęcie w Warszawie. Pozostała część wypowiedzi, dotycząca panującej w stolicy temperatury oraz życzeń i podziękowań za wspólnie spędzony czas, niespecjalnie go interesowała.

Właściwie to miał nawet pretensję do nieznanego mu osoby, która wyrwała go bezlitośnie z porannej drzemki. Po międzylądowaniu w Amsterdamie zapadł w błogi sen, co nie udało mu się w pierwszej części podróży. Nadzieja, że przed przybyciem do Polski w miarę się wyśpi i nadrobi stracony czas, legła właśnie w gruzach.

– Druga pięćdziesiąt dziewięć? – Zdumiony zerknął na zegarek.

Zdał sobie naraz sprawę, że przekroczył kilka stref czasowych. Jeżeli pamięć go nie myliła, po wylądowaniu powinien przesunąć o siedem godzin do przodu wskazówki wodoszczelnego rolexa, otrzymanego od Mary na dwudziestą rocznicę ślubu. Podniósł dłoń i zasłonił ziewające usta, czym dał siedzącemu obok Michaelowi znak, że gdyby ten chciał z nim porozmawiać, to on z pewnością nie jest jeszcze gotowy na pogawędkę.

Gdy dwa tygodnie temu siedzieli w Chicago, w redakcji przy Michigan Avenue czterysta trzydzieści pięć, na dwudziestym

pierwszym piętrze biurowca Tribune Tower, nie przyszło Simonowi do głowy, że za kilka dni będzie się znajdował na pokładzie radzieckiego samolotu Il-62, dumnie nazwanego „Mikołaj Kopernik”, zmierzając, jak wielu dziennikarzy z różnych zakątków świata, do wschodniej Europy. Jako korespondent, który miał towarzyszyć dopiero co wybranemu papieżowi w pierwszej podróży do ojczyzny.

Przygotowaniem logistycznym służbowego wyjazdu, a przede wszystkim doborem sprzętu – kamer, przenośnych magnetofonów – i znalezieniem naprędce dwóch dźwiękowców, chętnych udać się za żelazną kurtynę, miał się zająć Michael. Cała pozostała, wyczerpująca i mrówcza praca w postaci niekończących się redakcyjnych spotkań w różnych, często odległych punktach miasta spadała na niego. I po raz kolejny nie był w stanie przekonać naczelnego, Clayтона Kirkpatricka, że nie jest do tego stopnia kompetentną osobą, aby zająć się wszystkim jednocześnie. Tym bardziej że wyniki badań krwi chorej żony, które od kilku tygodni spędzały mu sen z powiek, miały przyjść lada dzień.

Wolałby przygotowywać się do podróży wyłącznie od strony czysto dziennikarskiej, spróbować odpowiedzieć sobie na podstawowe pytania: W jaki sposób świat postrzega wizytę Karola Wojtyły w ojczyźnie? Co o pielgrzymce sądzi pierwszy sekretarz Edward Gierek i pozostali działacze partyjni z wierzuszką Biura Politycznego KC PZPR¹ na czele? A także czy Związek Radziecki, a konkretnie jego przywódca Leonid Breżniew, musiał wyrazić zgodę na tę wizytę?

Uważne spojrzenie Simona podążyło przez okno samolotu w stronę świata, który pożegnał bezpowrotnie w tak nagłych okolicznościach niecałe trzydzieści cztery lata temu. Poprzecinana długimi prostokątami w kolorze późnej wiosny ziemia była przecież jego pierwszą ojczyzną. Kiedyś tęsknił

¹ Biura Politycznego Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej.

za nią prawie codziennie. Co z tego, że mieszkał tak długo w Stanach? Tu się urodził, tu dorastał, tu stracił rodzinę i tu, sięgając po broń, złudnie wierzył, że zemsta pozwoli mu przywrócić wewnętrzną równowagę. Tragiczne doświadczenia wojny pozostawiły w jego duszy tak głęboką rysę, że, jak sądził, przenigdy nie uda się jej zabiścić. Tamte czasy starał się wyrzucić z pamięci. Nadal jednak mnóstwo wspomnień stawało mu przed oczami. Ale to na szczęście już przeszłość – z czasem Polska stała mu się tak obca, jak mijany obojętnie przechodzień.

A teraz czuł przez skórę, że wspomnienia powrócą ze zdwojoną mocą, rozbudzą wyobraźnię. Gdyby argumentacja naczelnego nie okazała się jak zawsze celna i skuteczna, z pewnością by się na ten długi lot nie zdobył.

– Jak ci się spało? – spytał jego sąsiad, trzydziestoparoletni mężczyzna z fryzurą przypominającą rude afro.

Simon spojrział na niego. Na lewym policzku Michaela widać było ślad odcisniętego rogu poduszki, wyglądało to jak blizna. Dodawało mu męskiego uroku, którym tak chętnie w obecności Simona się obnosił.

– Dobrze – odparł, wracając wzrokiem do szachownicy pól, która rozciągała się pod nimi.

Nigdzie na świecie nie zachwycał się tyłoma odcieniami zieleni naraz – począwszy od jasnego szmaragdu po mdłe turkusy.

– Najchętniej wskoczyłbym teraz do basenu z ciepłą wodą. Na dodatek nie czuję nóg. Całe mi zdrętwiały – skarżył się Michael. Zdjął przeciwsłoneczne okulary, przetarł oczy i rozpiął dwa górne guziki błękitno-czerwonej koszuli, odsłaniając wijące się na klatce piersiowej rude włosy. – Duszno tu, nie uważasz?

– Raczej nie. Ja akurat zmarzłem – odparł rzeczowo Simon.

– Oby piwo w tym kraju było równie zimne jak w barze przy North Orleans Street – mruknął Michael i wyciągnął niechący nogi wprost przed nadchodzącą stewardesę.

Blondynka o gładko przyczesanych włosach i słowiańskich rysach, mniej więcej w wieku starszej córki Simona, nie zatrzymując się, pogroziła mu zalotnie palcem i z wyraźnie wyczuwalnym polskim akcentem pouczyła po angielsku:

– Proszę zapiąć pas.

W odpowiedzi obdarował ją tylko tym swoim bezczelnym uśmiechem, z którym podrywanie studentek na kampusie wydawało się łatwą, jak łowienie ryb w stawie, rozrywką. Kobieta spojrzała na niego z lekceważeniem. Jej wzrok zdawał się mówić: „Jeśli nie usadowisz się, pajacu, na miejscu, zmuszona będę zareagować bardziej zdecydowanie”.

Michael podkułił niechętnie nogi i dłońią przeczesał włosy, jakby tym gestem chciał zmanifestować urażoną męską dumę. Kobieta wyprostowała się, obciągnęła błękitny żakiet i uniosła głowę, zwróciła się do pozostałych pasażerów:

– Proszę państwa, zaczynamy obniżać lot i podchodzimy do lądowania w Warszawie. Proszę zająć swoje miejsca i zapiąć pasy!

Podczas gdy stewardesa powtarzała ten sam komunikat w języku angielskim, Michael uśmiechnął się do niej, poszukując jednocześnie zagubionej gdzieś z boku metalowej klamry.

Mimo wszystko nie wygląda na upokorzonego, doszedł do wniosku Simon.

– Wszystkie kobiety w tym kraju są takie nieustępliwe? – odezwał się jego towarzysz.

Simon spojrzał na niego kpiąco.

– Wszystkie chyba nie – odrzekł tajemniczo.

Zaczął się przyglądać dobrze już widocznym w dole, zmierzającym w jednym kierunku, jak do ogromnego paśnika ustawionego pośrodku kraju, drogom. Dawno temu jedną z nich uciekał poraniony wojną.

Gdyby w tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym świat nie palił mu się pod stopami, może nigdy by z Warszawy nie wyjechał. Może pozostałby, ożenił się i spłodziwszy dzieci,

poukładałby życie na nowo. Wielu przecież tak uczyniło. Gdyby nowe władze nie ścigały żołnierzy AK, gdyby nie nazywali go zbrodniarzem na usługach zdrazieckiego londyńskiego rządu i, co najistotniejsze, gdyby nie stracił rodziny, pewnie nie musiałby szukać schronienia na Ziemiach Odzyskanych.

Za dużo tych „gdyby”, pomyślał.

Był świadom, że Polska nie będzie tą Polską, którą znał jeszcze sprzed wojny i z czasów, gdy musiał, a właściwie pragnął, o nią, za nią i dla niej walczyć. To, że Warszawa nie będzie tą samą Warszawą, było pewne. Kiedy opuszczał ją trzeciego października czterdziestego czwartego roku, w pamięć wrył mu się porażający zapach ludzkiego mięsa, dymiące budynki i nieliczne cudem ocalałe śródmiejskie ulice oraz wściekłe oczy tych, którym dane było przeżyć te piekielne sześćdziesiąt trzy dni. Jakimś cudem udało mu się wtedy przetrwać. Choć z życiem w jego zwyczajnym rozumieniu nie miało to nic wspólnego.

Miasto, w którym przyszedł na świat, wymazał – bez żalu – z pamięci.

Był ciekaw, czy uda mu się odnaleźć choćby kilka miejsc, które będzie w stanie rozpoznać. Przez ostatnie miesiące bacznie śledził w polonijnych gazetach serię kolorowych obrazów, w tym nowej Marszałkowskiej czy Muranowa. Były zupełnie inne, niż pamiętał – dawna stolica przestała istnieć.

Do getta miał osobisty stosunek. Stracił tam kilku znajomych z gimnazjum. W tym piekle wegetowała kiedyś Sara. Nie rozumiał, dlaczego władze Warszawy zabudowały je po wojnie najzwyklejszym blokowiskiem, jakby nie zdawano sobie sprawy, co tak naprawdę się tam wydarzyło. Na gruzowisku wyrosły budynki mieszkalne, szkoły, przedszkola, przychodnie, sklepy, gwałcą pamięć dawnych mieszkańców i ich losu.

Samolot łagodnie się przechylił. Poranne słońce oświetliło prawe skrzydło. Pasażerowie jak na komendę podnieśli dłonie i jednym gwałtownym gestem odgradzili się od intensywnego blasku. Po kilku sekundach kadłub wyprostował się, przyjmując

pozycję horyzontalną, a słońce schowało się za kłębiaste, śnieżnobiałe chmury.

Pochylił się w kierunku okna. Jest, uzmysłowił sobie. Dojrzał długie zakola Wisły, oplecione murami Stare Miasto, zielony plastron ogrodu Krasińskich przylegający do dawnego getta, ulicę Wierzbową... i dobrze znany mu z relacji dziennikarzy NBC² z wizyty prezydenta Geralda Forda strzelisty budynek. Stał pośrodku miasta jak posąg, jak łuk triumfalny – choć kształtem wcale go nie przypominał – wystawiony na cześć narodu, który rozpiął szpony nad zapomnianą ziemią. Nie takiego widoku oczekiwał. Może to była kwestia podniebnej perspektywy, ale budynek wydał się nieduży. Pokraczny i skarławy. Choć z drugiej strony dominował nad otoczeniem.

– Pałac Kultury i Nauki, chyba tak go nazwano. Okolice Złotej – wyszeptał do siebie.

Ojciec przed wojną kupował nieopodal kapelusze, przemknęło mu nagle przez myśl.

– No to dotarliśmy w końcu na miejsce. – Poczul na swoim ramieniu uścisk dłoni towarzysza podróży.

– Tak – potwierdził machinalnie Simon.

W jego głosie nie słychać było żadnego entuzjazmu, wyłącznie znużenie.

– Taxi, hotel, prysznic i jajka z bekonem na śniadanie – podsumował swoje plany Michael, odwróciwszy głowę. – Mają tam basen?

Jego błyszczące źrenice jak zawsze pełne były werwy i kawalerskiej fantazji.

– Nie mam zielonego pojęcia – odparł beznamiętnie Simon. Po czym, dostrzegłszy, że Michael taksuje wzrokiem obcisłą spódnicę stewardesy, dodał: – Z basenu to radzę ci na razie zrezygnować. W pierwszej kolejności starsz się o karty

² National Broadcasting Company (ang.) – amerykańska sieć telewizyjna.

akredytacyjne i nie zapominasz o centrum prasowym. Będziesz miał co robić. Słyszysz, co do ciebie mówię?

– Słyszę, słyszę – mruknął jego współpracownik z niechęcią.

Samolot, schodząc do lądowania, zatoczył łuk nad miastem, a potem zadrżał, podrygując nierówno, jakby napotkał w powietrzu przeszkodę i starał się obrać najmniej uciążliwą drogę. Przesuwające pod spodem domy wydawały się nieuchronnie zbliżać do kół samolotu. To wrażenie odnosił Szymon nie po raz pierwszy – kiedyś się tym denerwował, później już przywykł.

Po następnych trzech minutach maszyna dotknęła pasa startowego, a po kilku kolejnych sekundach wzbija się na powrót w powietrze i opadła z wielką siłą, wydając przy tym oczekiwany grzechot toczących się po betonie kół. Głowa Michaela się zakołysała i uderzyła o krawędź oparcia.

Głośne *shit*³ rozszło się w całej kabinie, budząc zdziwienie w oczach większości pasażerów.

– Ładne powitanie. Pilot zachowuje się, jakby miał atak padaczki – wyrzucił z siebie Michael.

Średnio trafione porównanie nie przypadło Simonowi do gustu. Spojrzał pośepnie na młodego dziennikarza. Nie potrafił się powstrzymać od wygłoszenia reprimendy:

– Redaktorze Michaelu Greenie, licz się trochę ze słowami i przestań zachowywać się jak młokos!

– A co ty jesteś dzisiaj taki przewrażliwiony?

– Nie sądzisz, że za dużo mówisz? – odparował Simon.

– Słuchaj, mamy w tym pieprzonym kraju spędzić dwa tygodnie, a ty już w samolocie zachowujesz się, jakbyś był moim ojcem. Wyluzuj! – wybuchnął młodszy kolega.

Simon demonstracyjnie wypuścił powietrze z płuc.

– Póki jesteś ze mną, robisz, co ci każe. Ja tu jestem szefem. Cztery pierwsze słowa zaintrygowały Michaela.

– Jak to „póki jesteś”?

³ *Shit* (ang.) – gówno.

– Nie powiedzieli ci w redakcji? – odpowiedział pytaniem na pytanie.

– Czego?

– Sądziłem, że Aaron Gold cię o wszystkim poinformował. Do przyjazdu papieża jesteś w Warszawie sam – oznajmił Simon. – Jutro o dziesiątej odbierasz z lotniska dźwiękowców, pamiętaj, że przylatują via Berlin. Zawozisz ich do hotelu, nie dajesz się zdrzemnąć choćby przez minutę i instalujecie sprzęt na placu Zwycięstwa.

Koła iła właśnie się zatrzymały. Tułów Michaela przesunął się gwałtownie do przodu, by po sekundzie wrócić do pierwotnego położenia.

– *Fuck!*⁴ Nie wracam tymi liniami! – Tekszańczyk pokręcił z rezygnacją głową i podjął urwany wątek. – Jak to sobie wyobrażasz? Ty gdzieś znikasz, a ja będę się użerał z tymi czarnuchami?

Dziennikarz poczuł pulsowanie krwi w skroniach, ale się nie odezwał. Opinia Michaela o kolorowych były mu znana aż za dobrze. Mimo że chłopak nie urodził się na Głębokim Południu, niejednokrotnie zachowywał się tak, jakby nocami uganiał się za czarnoskórymi obywatelami Missisipi w białym kapturze i pochodnią w ręku. Simon uważał manifestowanie takich poglądów za szczyt ignorancji i głupoty. Musiał jednak przyznać, że dziennikarz, mimo że młody zarówno wiekiem, jak i stażem, należał do grona bardzo dobrze zapowiadających się reportażyistów. A takim, w przeciwieństwie do niego, wybacza się więcej.

Zdaniem naczelnego Michael powinien oswajać się z Europą Wschodnią. Aaron Gold przeczuwał, że właśnie w Polsce może wydarzyć się coś, co zmieni oblicze świata. „W przyszłości być może pojawi się potrzeba zainstalowania tam stałego korespondenta” – usłyszał Simon z jego ust zaraz po tym, kiedy

⁴ *Fuck!* (ang.) – Pieprzyć to!

się dowiedział, kto będzie mu towarzyszył w podróży do Polski. Zresztą już jakiś czas temu uzmysłowił sobie, że przyjdzie czas, gdy Michael godnie go zastąpi. Chcąc nie chcąc, pozostawało mu ugryźć się w język i zachować tak, jakby go przy narwanym dziennikarzu nie było.

– Muszę dokończyć pewną niezłatwioną sprawę z przeszłości. Czekałem na ten moment ponad trzydzieści lat – oznajmił, wpatrując się w rozbiegane oczy kolegi.

– I to właśnie dzisiaj? Lepszego dnia nie mogłeś znaleźć.

Simon westchnął.

– Następna taka okazja może mi się w życiu już nie powtórzyć.

Michael przez kilka sekund wpatrywał się tępo w jakiś punkt za oknem, po czym, jakby nagle pogodzony z planami Simona, odchylił głowę i spytał:

– Niech ci będzie. Kiedy wrócisz?

– Chyba za dwa dni.

Obydwoj rozpięli pasy.

– Za dwa dni? Za dwa dni powitamy papieża amerykańską flagą – oświadczył chłopak, wymachując zaciśniętą dłońią, jakby trzymał w niej chorągiewkę.

– Będę z powrotem w sobotę rano. Może wcześniej. Nie wiem.

– Daleko się wybierasz? – Gęste brwi Michaela uniosły się nieznacznie.

– A co ci do tego?

– Tak tylko pytam.

Rzadko spotykana u Michaela pokorna mina nieco udobroczyła Simona.

– Prawie pod Berlin.

– Do Berlina Wschodniego?

– Nie. Bliżej. Do Szczecina.

– Szczecy... – Michael usiłował wymówić arcytrudną nazwę.

Wstał, otworzył schowek na bagaż podręczny i wyjął z niego czarną torbę z białym napisem „adidas”, po czym położył ją na podłodze obok swojej prawej nogi.

– Kobieta czy pieniądze? – Mrugnął do Simona porozumiewawczo.

Ten przygryzł wargi, zawahał się, a po kilku sekundach rzekł:

– Tylko trzymaj język za zębami.

Michael skinął gorliwie głową i uśmiechając się wylewnie, zachęcił go:

– No, nie wstydź się.

Simon nachylił się w jego stronę, lustrując jednocześnie wzrokiem najbliższych pasażerów, jakby w obawie, czy nie ma pośród nich jakiegoś szpicla.

– Ko-bie-ta – wysylabizował szeptem.

Dojrzał szelmowski uśmiezek na twarzy kompana.

– Właściwie to nie jest tak, jak... Nie wyobrażaj sobie zbyt wiele. Zresztą co ci będę tłumaczył.

Machnął ręką, sięgnął do półki nad siedzeniem i zabrawszy z niej skórzaną błyszczącą walizkę, pomaszerował w stronę wyjścia.

31.05.1979, godz. 20.37

Szymon zbudził się zlany potem. Sen był z gatunku tych, co nie dają odetchnąć.

Śniło mu się, że przeniósł się do Warszawy. Nie tej, którą powitał z okien samolotu i po której przez parę godzin dane było mu stąpać. Powrócił do szesnastego września czterdziestego czwartego roku. Wszystko odbyło się dokładnie tak samo, jak wówczas na Powiślu, kiedy trafił tam z oddziałem, aby wesprzeć desant 3 Dywizji Piechoty generała Berlinga i odebrać zapasy broni maszynowej. Skulony w pokoju na drugim piętrze jakiejś rudery wraz z kilkoma gołowąsami, którzy na miano powstańców dobrze sobie już zasłużyli, obserwował ulicę, a właściwie to, co z ulicy pozostało. Pomiędzy zwaliskami gruzów, od strony elektrowni w rozpiętym płaszczu i hełmie z orzełkiem bez korony szedł wolno obwieszony pepeszami żołnierz.

Gdy już się wydawało, że zdoła do nich dotrzeć, padł strzał. Mężczyzna zwałił się jak kłoda, a po chwili w głębi ulicy pojawił się kolejny. Poruszał się tak samo uważnie jak pierwszy, jakby w doskonały sposób naśladował swojego poprzednika. Również obwieszony bronią, identycznie stawiał kroki. Padł rażony kulą w tym samym miejscu. Za chwilę pojawił się następny, potem czwarty i piąty, i tak bez końca. Szymon wołał do każdego z nich z osobna, próbując go ostrzec, ale oni jakby go nie słyszeli.

Sen nie kończył się tak, jak miało to miejsce w rzeczywistości. Wtedy żołnierz skrył się za występem ocalałego muru oficyny, z jednym pistoletem w rannej dłoni, a oni zawiedzeni pytali: „Tylko tyle?”

Zdawało mu się, że gdyby się nie obudził, stos zmasakrowanych ciał urósłby do niebotycznych rozmiarów. Śniąc, obserwowalby z przerażeniem niekończącą się defiladę oddziałów idących na bezsensowne zatracenie.

– Pociąg pospieszny relacji Warszawa Wschodnia–Szczecin Główny stoi na torze pierwszym przy peronie drugim. Planowy odjazd pociągu godzina dwudziesta czterdzieści pięć. – Piskliwy kobiecy głos wyrwał go z odrętwienia.

Błądził przez chwilę wzrokiem po pustym przedziale. Wiszące nad siedzeniem trzy wyblakłe zdjęcia w kolorze sepii przedstawiały jakieś pocztówkowe krajobrazy. Na pierwszym, z napisem TATRY, dostrzegł pasmo na wpół ośnieżonych szczytów. Drugi prezentował zimową scenerię wokół obserwatorium meteorologicznego na Śnieżce. Na trzecim, zatytułowanym BESKIDY, pagórkowaty, idylliczny, poprzecinany lasami i polami pejzaż ciągnął się aż po horyzont.

Odszukał spojrzeniem bagaż, rozmasował zeszytniały kark i wyjrzał przez okno, usiłując wypatrzeć tablicę z nazwą miejscowości. Pozbawiona jednej wskazówki tarcza zegara zawieszzonego pod peronowym zadaszeniem sprawiała ponure wrażenie. Majowe słońce zalewało pomarańczowym blaskiem ażurową kładkę przeciągniętą nad dwoma peronami dworca. Bezwietrzny, ciepły wieczór zapowiadał zbliżające się wakacje, a tłum czekających osób z bagażami zdradzał, że najprawdopodobniej znajdowali się w większym mieście.

Powstał i się przeciągnął. Wilgotnymi od potu dłońmi ujął metalowy uchwyt i pociągnął zdecydowanie w dół. Blask promieni go oślepił, odruchowo odchylił głowę. Napotkał wzrokiem starszą kobietę, z siatką wypełnioną chlebem i dwiema butelkami mleka. Bezwiednie oddała spojrzenie.

– Jaka to stacja? – spytał, mrużąc oczy.

– Dąbie – odparła grzecznie.

Sposób, w jaki spoglądała na Szymona, przywiódł mu na myśl nauczycielkę z przedwojennego gimnazjum. Zadumał się.

– Dąbie? – powtórzył, jakby słyszał to słowo po raz pierwszy w życiu.

Kobieta uśmiechnęła się z roztargnieniem, ale zaraz odwróciła wzrok, jakby złąkla się obco brzmiącego akcentu. Dodała:

– Szczecin Dąbie.

Podziękował skinieniem głowy i zamknął pospiesznie okno.

Podeksytowany nie za bardzo wiedział, co ma uczynić. Zjawiał się z powrotem w mieście, z którym wiązał kiedyś tak wiele nadziei, w którym poznał Sarę. Powracał w tajemnicy przed wszystkimi. W rozmowach z żoną z oczywistych powodów pomijał miłosny wątek swojej historii, przytaczał tylko mało znaczące fakty i zbywał milczeniem niewygodne pytania. Nikt nie wiedział, że kiedyś tęsknił i że jeżeli cokolwiek przyjdzie mu żałować, to tych kilku miesięcy spędzonych tutaj z Sarą.

Spoglądał jeszcze przez chwilę na peron. Dostrzegał na całej jego długości popękane betonowe płyty. Wyglądał na dawno nieremontowany. Szymon, wodząc oczami po obskurnym wnętrzu, zobaczył wymalowaną niestarannie na drzwiach cyfrę „jeden” i rude zasłony oddzielające go od korytarza. Od początku podróży nie dawał mu spokoju zapach unoszący się w przedziale. Teraz zbliżył nos do rdzawego materiału, a po sekundzie odchylił z obrzydzenia głowę. Co za smród, pomyślał.

Uprzytomnił naraz sobie, że kasjerka na Dworcu Centralnym w Warszawie doradzała mu kupić bilet powrotny od razu, ponieważ na czas pielgrzymki Ojca Świętego PKP wyprzedają już większość biletów. Nie za bardzo się tym przejął. Postanowił, że bilet kupi dopiero w Szczecinie – mimo wszystko wierzył, że się uda.

Skład ruszył, a z głośników zainstalowanych na peronach i ścianach budynku dworcowego dało się słyszeć kolejną zapowiedź:

– Pociąg pospieszny relacji Warszawa Wschodnia–Szczecin Główny przez stacje Szczecin Zdroje i Szczecin Port Centralny odjeżdża z toru pierwszego przy peronie drugim. Planowy przyjazd pociągu do stacji docelowej godzina dwudziesta pierwsza siedemnaście. Pociąg kończy bieg. Wagon pocztowy znajduje się na końcu składu.

Po kilku minutach siedem wagonów, minąwszy nasyp odgradzający nadbrzeżne tereny od zalesionych pofałdowań Wzgórz Bukowych, wtaczało się powoli na metalową konstrukcję mostu. Wsłuchany w rytmiczne dudnienie kół Szymon obserwował przemykające mu przed oczami ukośne elementy rdzawych przeseł i płynącą w dół rzekę.

Most nie przypominał tamtej tymczasowej przeprawy sprzed ponad trzydziestu lat. Kiedy sięgał do niej pamięcią, widział kruchą i chybotliwą drewnianą konstrukcję, która – gdy tylko pociąg naciskał na filary – niemiłosiernie trzeszczała. Miał wówczas wrażenie, że rozkołysana budowla za moment się przechyli i wraz z całą masą zgrzytającego żelastwa runie z wysoka wprost do spokojnego nurtu Odry Wschodniej.

W czterdziestym piątym przejazd rozedrganymi przęsłami był dla wielu przesiedleńców nie lada wyczynem. Wszyscy ci, którym dane było przeżyć raz to emocjonujące wydarzenie, przy kolejnej próbie wysiadali zawczasu i szli przez most pieszo.

Oddawał się tym wspomnieniom z wielką przyjemnością. Podziwiając iskrzącą się różowymi przebłyskami toń rzeki, zastanawiał się, jakie miasto zostanie dzisiaj. Jaki przybrało wygląd i czym go powita? Czy jest jeszcze, w co wątpił, morzem gruzów, które ujrzał tamtego wrześniowego popołudnia? Czy też podniesioną z ruin, pełną energii aglomeracją, odbudowaną z pietyzmem i w zgodzie z jej historycznym duchem? I – co najistotniejsze – czy odnajdzie choćby nikłe ślady Sary? Odpowiedzi na te pytania dręczyły go od dłuższego

czasu. Powodowały, że pragnął za wszelką cenę znaleźć się w mieście nad Odrą.

Sięgnął po skórzaną torbę. Była ciężka. Zabrał ze sobą wszystko, co przygotowała mu na dwa tygodnie żona. Miał zamiar położyć torbę na siedzeniu naprzeciwko, ale dostrzegłszy na materiale ciemną plamę, zdecydował się trzymać bagaż na kolanach. Pociągnął za metalowe oczko przytwierdzone do błyskawicznego zamka, włożył dłoń do środka i wyjął z bocznej kieszeni niewyraźne czarno-białe zdjęcie z jasnym, karbowanym brzeżkiem. Przyglądając się fotografii, uparcie wierzył, że i Sara nie pozbyła się swojej.

Na tle monumentalnego budynku mieszczącego się, jeśli dobrze sobie przypominał, przy Hakenterrasse⁵, dwie spoglądające na siebie osoby trzymały się za ręce. Za nimi, na wysokim postumencie widać było zwarte w uścisku – niczym splątane ogniwa łańcucha – usiłujące się nawzajem powalić muskularne postacie człowieka i centaury. W głębi, nieco powyżej, widniał niezwykle podobny do nadpalonego gmachu muzeum otwarty pawilon. Stanowił główne, acz nienarzucające się, tło dla sceny zaaranżowanej przez sympatycznego – jak go zapamiętał – fotografa.

Pomimo że obydwie trzymające się za ręce postacie nosiły męskie stroje, długie włosy jednej z nich zdradzały, że jest kobietą. Zmrużył powieki i przyjrzał się uśmiechniętym twarzom. Przypomnił sobie, że kiedy spoglądali w obiektyw aparatu, Sara nie była – choć zdobyła się na ten uśmiech – w najlepszym nastroju. Pomyślał, że zaprzedałby teraz duszę diabłu, żeby choć na moment cofnąć się do tamtego czasu i zatopić w zapachu jej włosów.

Kiedy wylądował w Stanach z jedną walizką w ręku i dziesięciodolarówką w kieszeni, wydawało mu się, że gdzieś zapodział cenną pamiątkę, wspólne zdjęcie. Żałował, ale ponieważ

⁵ Hakenterrasse – obecnie Wały Chrobrego.

Korespondent Chicago Tribune Simon Equerry przybywa do Polski w przeddzień wizyty Jana Pawła II w ojczyźnie. Będzie relacjonował dla rodaków za oceanem pielgrzymkę. W Stanach, nie bez wyrzutów sumienia, pozostawia chorą śmiertelnie żonę i dwie córki. Prawdziwym celem podróży jest próba odnalezienia ukochanej, Żydówki z warszawskiego getta - Sary Tannebaum, poznanej zaraz po wojnie w na wpół niemieckim jeszcze Szczecinie. Dręczony tęsknotą wyrusza na dwa dni do miasta. Kroczenie śladami ukochanej przeradza się w ucieczkę przed aparatem bezpieczeństwa PRL-u. Tropem Szymona podąża milicja oraz ścigający go w czterdziestym piątym roku emerytowany funkcjonariusz Służby Bezpieczeństwa, kapitan Jurkowski. Szymon, poszukując ukochanej trafia na ślad jej córek. Informacja, że Sara opuściła Polskę wstrząsa nim. Czy los dla rozłączonych przed laty kochanków będzie łaskawy? Czy na zawsze pozostanie im żyć bez siebie?

FILIA

cena 52,90 zł

wydawnictwofiliala.pl



Klub książki

ONA
CZYTA

Facebook.com/ONACZYTA

ISBN 978-83-8357-415-8



9 788383 574158